

Ścieżka

Bernard Korzeniewski

- Nie sądzisz, Holmsie, że dziwnie długo idziemy przez ten las? Dawno już powinniśmy z niego wyjść. Z zewnątrz wydawało się, iż nie ma on więcej, niż sto na sto jardów. Właściwie więc nie należałoby go nazywać lasem, lecz zwykłym zagajnikiem, jakich pewnie wiele w posiadłościach hrabiego de Fineaux. Tymczasem przebywamy tu już, jak przypuszczam, prawie godzinę, a ścieżka ciągle przezeń prowadzi. Nie znaczy to, że się niecierpliwę, bynajmniej. Te młode graby, świeża zieleń liści i wiosenne słońce czynią nasz spacer ze wszech miar przyjemnym. Idąc, radowałem się aurą i rozmyślałem jednocześnie o wielu rzeczach, między innymi oczywiście o zagadce zniknięcia profesora Moore'a, która nas tu sprowadza. W zadumie zatraciłem jakby poczucie czasu i dlatego teraz dopiero uświadomiłem sobie, że dawno już powinniśmy dotrzeć do znajdujących się za tym lasem ruin, w których hrabia wyznaczył nam spotkanie. Czy ty także odniosłeś podobne wrażenie?

- W istocie, mój drogi Watsonie, fenomen o którym wspomniałeś absorbuje mój umysł już od pewnej chwili. Wcześniej i ja poświęciłem naszą krótką, jak mniemałem, przechadzkę dalszej analizie przypadku profesora Moore'a. W zasadzie, sprawa wydawałaby się bardzo prosta. Wszystkie poszlaki wiodą ku posiadłości hrabiego de Fineaux oraz ku jego osobie. Włości hrabiego są ostatnim miejscem, o którym wiemy, że przebywał tam profesor. Sam zaś hrabia jest ostatnią osobą, która przyznaje (na jego miejscu nie sposób byłoby zresztą temu zaprzeczyć), iż widziała uczonego. Jeżeli zatem założymy, że profesor Moore nie opuścił dobrowolnie pałacu hrabiego, to w sposób naturalny nasuwają się dwie możliwości. Albo nie żyje on, albo też z takich lub innych powodów nie jest w stanie wydostać z obrębu posiadłości swego gospodarza. Przypuszczenie, iż profesor zniknął z własnej woli, działając w swego rodzaju zмовie z hrabią, przyjdzie nam na razie odłożyć *ad acta* jako skrajnie nieprawdopodobne. Trudno też raczej mniemać, że opuściwszy gościnę hrabiego zaszły się dla siebie tylko wiadomych powodów w jakimś nieznanym nikomu miejscu, zamiast powrócić do Anglii. Zatrzymajmy się zatem na chwilę przy obu członach naszej alternatywy. Jeżeli profesor nie żyje, to albo został zabity, albo też zginął przypadkowo, wskutek jakiegoś, powiedzmy, wypadku. Gdyby jednak zaszło to drugie, hrabia nie miałby żadnego powodu tego ukrywać. Jest on z pewnością aż nadto inteligentny, by wiedzieć, że wszelkie próby utajenia sprawy ściągnęłyby na niego niepotrzebne podejrzenia, a zatem najprostszym wyjściem byłoby powiadomienie o wypadku policji. Pozostaje wobec morderstwo, w przypadku którego potrzeba ukrycia czynu nie wymaga specjalnych uzasadnień. Jeżeli jednak profesor żyje, a jedynie nie może opuścić granic posiadłości, oznacza to, iż jest przez hrabiego w jakiś sposób więziony. Wydawałoby się zatem, iż pozostaje nam wybór pomiędzy zabójstwem a uprowadzeniem. Dziwnie jednak nie jestem taką alternatywą usatysfakcjonowany. Jeden z głównych problemów stwarza kwestia motywu. O ile mi wiadomo, przyczyną spotkania obu dżentelmenów była różnica zdań w pewnej naukowej kwestii. Co prawda uczeni znani są ze swego zacietrzewienia, kiedy w grę wchodzi przeciwstawne poglądy na takie

sprawy, jak Wielka Teoria Wszystkiego lub jedyna słuszna klasyfikacja systematyczna ssysdlaczków. W żadnym jednak wypadku tego rodzaju antagonizmy nie mogłyby doprowadzić do zbrodni. A już w szczególności u ludzi tej klasy i pokroju, co hrabia de Fineaux. Ale piętzące się w tej sprawie trudności interpretacyjne to coś znacznie więcej, niż tylko pytanie o motyw. Przy moim wieloletnim doświadczeniu detektywistycznym obecny problem, ze swoją banalną fabułą i samowskazującym się sprawcą, powinien być prosty aż do trywialności. A jednak zajmuję się nim od kilku tygodni, odbyłem z hrabią długą rozmowę, a teraz, podążając wraz z Tobą tą krętą ścieżką, już od dłuższego czasu gimnastykuję swą dedukcję, tak dobrze sprawdzoną w wielu innych przypadkach kryminalnych, i ciągle nie mogę dostrzec rozwiązania naszej zagadki. Co gorsza, ogarniają mnie dziwne i niesprecyzowane podejrzenia, że zniknięcie profesora Moore'a wykracza poza to, z czym dotychczas zetknąłem się w mojej dotychczasowej praktyce. Zbyt wiele związanych z tą sprawą faktów nie pasuje do jakiegokolwiek rozsądnego schematu.

- Ależ, jakież to fakty masz na myśli, Holmsie, które uniemożliwiają Ci szybkie wskazanie sprawcy zniknięcia profesora? Mówiąc szczerze, kiedy tak spacerowaliśmy długo w milczeniu przez ten las, w każdej chwili oczekiwałem, iż odezwiesz się niebawem, aby poinformować mnie o rozwiązaniu zagadki. Byłem dogłębnie przekonany, iż jest to tylko kwestia czasu, i to, żeby już być dokładnym, bardzo niedługiego czasu. Tym bardziej czuję się zaskoczony tym, co powiedziałaś. Jakież to niezrozumiałe okoliczności tak zbijają Cię z tropu, że aż bez mała dwie godziny przemyśleń jeszcze nie naprowadziły Cię na trop złoczyńcy?

- Zacznę od rzeczy, których dowiedziałem się przed przybyciem tutaj, mój drogi Watsonie. Nie mówiłem Ci o nich wcześniej, ponieważ przez ostatnie dwa tygodnie pracowałem sam, podczas gdy Ty, jak sam wiesz najlepiej, bardzo byłeś pochłonięty swą praktyką lekarską. Poza tym, wiele z zebranych przeze mnie informacji wydawało mi się tak jawnie niedorzecznych i pozbawionych znaczenia, że nie uznałem za właściwe zaprzętać Ci nimi głowy. Ponieważ jednak zaczynam mgliście przeczuwać, iż owe fakty mają mimo wszystko istotny, choć na razie jeszcze nie do końca zrozumiały związek z naszą sprawą, postanowiłem zdać Ci z nich relację. Proszę jedynie, abyś na chwilę zawiesił swój dyktowany zdrowym rozsądkiem sceptycyzm i spróbował bez uprzedzeń wysłuchać tego wszystkiego, czego się dowiedziałem.

Zacznę od początku. Wiem, że zakrawa to na kompletną bzdurę, ale szacowne grono kolegów profesora twierdzi z bezwzględną pewnością, iż jego portret wiszący w Trinity College w Cambridge zbladł w dniu wizyty Moore'a u hrabiego. Całkowicie stracił swe kolory, przybierając odcienie efemerycznej szarości. Żaden ekspert nie potrafił wytłumaczyć tego fenomenu, chociaż podmienienie portretu czy też inny tego rodzaju głupawy żart wykluczono z całą stanowczością. Nikt już potem profesora nie widział. Hrabia de Fineaux zeznał policji, iż profesor Moore, po wielce interesującej i owocnej dyskusji na tematy naukowe i filozoficzne, z własnej woli opuścił jego domostwo, śpiesząc do swoich zainteresowań w dziedzinie matematyki i filozofii, które wypełniały całe jego życie. Tak ponoć brzmiały ostatnie słowa profesora. Nikt oczywiście nie był w stanie tego potwierdzić. Faktem jest, iż

profesor nie powrócił do Cambridge, co, wnioskując z relacji hrabiego, miało być jego zamiarem. Nikt też nie natknął się na niego na trakcie ani w żadnej z gospód, choć wiele osób pamięta go, kiedy zmierzał w przeciwnym kierunku, do posiadłości hrabiego.

Naturalną kolejną rzeczą hrabia de Fineaux pozostał głównym podejrzanym. Jego rezydencję wraz z parkiem i pałacem poddano baczniemu badaniu. Nic ciekawego jednak nie zauważono. Jedynie dwaj agenci po nocnej zmianie podczas pierwszej doby obserwacji twierdzili, jakoby żywe kwiaty na klombie przed fasadą pałacu, jeszcze wieczorem mieniącym się czerwienią i żółcią, ktoś w ciągu nocy pozamieniał na szklane. Agenci z następnej zmiany, którzy zastąpili swoich poprzedników o poranku, nie pamiętają żadnych klombów. Nie widział ich również nikt potem. Jednakże listonosz, który wcześniej z rzadka dowoził nieliczną korespondencję hrabiego do pałacu, przypominał sobie wyraźnie żółto-czerwone klomby. Sprawę tę jako błąhą, choć do nie końca wyjaśnioną, odłożono *ad acta*. W końcu, zeznania któregoś ze świadków mogły nie być zupełnie wiarygodne. Nie da się już tego powiedzieć o następnym dziwnym fenomenie. Pomiędzy dwoma wioskami, które, jak dotąd powszechnie mniemano, dzieliła odległość piętnastu kilometrów, odkryto skrót mierzący zaledwie cztery kilometry. Wcześniej nikt nie miał pojęcia o jego istnieniu, co wydaje się o tyle niezrozumiałe, że pomiędzy tymi wioskami podróżowało wielu ludzi i nie byli oni w żadnej mierze zainteresowani niepotrzebnym nakładaniem drogi. Wspomniany fakt potwierdziło szerokie grono świadków, których liczba idzie w setki. Trudno więc wątpić w prawdziwość ich relacji, chociaż oni sami wydają się być zupełnie zdezorientowani paradoksalnością całej sytuacji. Do tego dochodzą zupełnie już nieprawdopodobne opowieści okolicznych wieśniaków, jakoby ryby w stawie znajdującym się opodal rezydencji hrabiego miały tylko jeden koniec, ni to przedni, ni to tylny, coś na kształt płetwy ogonowej z pyszczkiem i oczami, a chmury nad jego włościami przybierały nietypowe, niespotykane dotąd, jakby geomtryczne kształty. W okolicy zauważono także pewną ilość martwych węży, których śmierć przybrała szczególną formę - próbowały one mianowicie zjeść same siebie, rozpoczynając od ogona. Ktoś nawet doniósł o znalezieniu w pobliskich lasach kilku drobnych ssaków, bodajże wiewiórek i kretów, cytując: „wycinowanych na lewą stronę”. Niczego jednak, co by się w jakikolwiek logiczny sposób wiązało ze sprawą zniknięcia profesora Moore'a, nie dało się ustalić. Tak oto wygląda całość, Watsonie, niby normalnie - wszak dziwne plotki zdarzają się wszędzie, ale coś tu zdecydowanie nie daje spokoju.

- To wszystko w istocie wydaje się jakieś nierzeczywiste, Holmsie, a właściwie nawet całkowicie niewiarygodne. Ale czy nie możemy złożyć tego po prostu na karb lokalnego folkloru, który niewątpliwie jest barwny, lecz nie ma nic wspólnego z celem naszej tu wizyty? Przybyliśmy tu przecież, aby rozwiązać zagadkę zniknięcia profesora Moore'a. Nie sądzisz więc, że zajmowanie się wszelkimi pozakryminalnymi wątkami może jedynie zagmatwać sprawę?

- Jeszcze dzisiaj rano znalazłbyś we mnie gorącego zwolennika Twoich roztropnych uwag, mój drogi Watsonie. Teraz jednakże nabrałem co do ich słuszności pewnych wątpliwości. Stopniowo coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, które zakiełkowało we mnie już jakiś czas temu, że mamy do czynienia z problemem wysoce nietypowym, z jakim się dotychczas nie spotkałem. Wątpię nawet, czy

posiada on wymiar tylko kryminalny, a nawet, czy wymiar kryminalny ma tu jakiegokolwiek istotne znaczenie. Całość zdaje się sięgać daleko szerzej, ocierając być może w jakiś sposób o problemy, nie będące zazwyczaj przedmiotem rutynowych czynności policyjnych organów śledczych. Początkowo nie miałem na poparcie tego mglistego przeświadczenia żadnych dowodów krom mojej, ukształtowanej podczas rozwiązywania setek spraw kryminalnych, intuicji. Jako że pewne rodzaje interpretacji płynących zeń wniosków prowadziły do sprzeczności z ustalonym porządkiem świata i tak zwanym zdrowym rozsądkiem, były chwile, kiedy wątpilem w słuszność mej intuicji. Całkiem świeże przesłanki zdają się jednakże potwierdzać moją tezę o dominacji niekryminalnych, acz mających daleko idące implikacje wątkach obecnego przypadku.

- Pierwszy raz słyszę, Holmsie, o Twoich tego rodzaju wątpliwościach. Jakież to niedawno zaistniałe okoliczności skłoniły Cię do utwierdzenia się we wcześniej podjętym przekonaniu? Rozumiem, że coś naprawdę istotnego musiało Cię skłonić do poważnego wzięcia pod uwagę wszystkich tych opowieści o szklanych kwiatach i nietypowo ukształtowanych chmurach, choć nadal mi się w głowie nie mieści, w jaki sposób mogłoby to być czymś więcej, niż częzą ludzką gadaniną.

- Spróbuję Ci to wyluszczyć, mój drogi Watsonie. Nie gniewaj się jednak, jeżeli mój wywód nie będzie zbyt jasny, sam bowiem nie wszystko do końca rozumiem, chociaż z minuty na minutę pewna idea zdaje się nabierać w mojej głowie coraz to wyraźniejszych kształtów. Być może rozmowa z Tobą pomoże mi ją w pełni skryształizować. Często się tak zdarza, kiedy mgliste i niedookreślone jeszcze pojęcia przychodzi nam ubrać w sztywną szatę językową.

Podczas naszego spotkania z hrabią de Fineaux odniosłem nieodparte wrażenie, iż w zasadzie wcale nie skrywał on faktu swego powiązania z tą sprawą. Zachowanie hrabiego, chociaż w każdym calu poprawne, było jednocześnie niewątpliwie nieco dziwne. Co to według ciebie oznacza, kiedy człowiek wiedzący, iż jest podejrzany o udział w zniknięciu (w najlepszym wypadku) znanego uczonego, nic sobie z tego nie robi, jednocześnie dając do zrozumienia, w sposób zarazem tajemniczy i ironiczny, że potrafi naświetlić istotne okoliczności dotyczące tego zniknięcia? Który pod pokrywką dżentelmeńskiej postawy odnosi się do swoich potencjalnych prześladowców, reprezentujących wymiar sprawiedliwości, nawet nie tyle wyzywająco, co z pewną dozą protekcyjnej pobłażliwości? Przy czym owa pobłażliwość nie czerpie swych źródeł w poczuciu wyższości, a jedynie z faktu posiadania jakiejś tajemnej wiedzy, znajomości jakiegoś *fatum* dotyczącego w równej mierze przesłuchiwanego i przesłuchujących, w porównaniu z którym kryminalny aspekt zniknięcia profsora Moore'a staje się banalny aż do groteskowości. W mojej karierze detektywa napotykałem na różne reakcje przestępców, od jawnej wrogości poprzez strach aż do wynikającego z nadmiernych o sobie mniemań poczucia całkowitej pewności siebie. Psychologiczny odcień hrabiego jako podejznanego o przestępstwo jest jednakże mojemu doświadczeniu całkowicie obcy. Ta właśnie materia zawładnęła na dłuższy czas moim umysłem, zanim jakiś czas temu zorientowałem się, że rzeczywiście już dawno powinniśmy przejść przez ten las.

- To co mówisz o hrabim jest niezmiernie ciekawe, Holmsie. Ale czy ta obserwacja psychologiczna stanowi wystarczającą podstawę do wyciągania tak daleko idących wniosków? A może

dla zachowania hrabiego da się znaleźć proste wytłumaczenie? Być może jednak należy on do grupy tych, którzy sądząc, iż popełnili zbrodnię doskonałą, tak są pewni siebie, że odnoszą się z lekceważeniem do próbujących znaleźć dowody ich winy?

- Nasza rozmowa z hrabią była już kolejnym z wielu klocków pasujących do pewnej przedziwnej układanki. Ale po kolei. Obraz zadufanego w sobie prostaka w żaden sposób nie pasuje do hrabiego de Fineaux, Watsonie. Z tego, co o nim słyszałem, i o czym sami mogliśmy się w pewnej mierze przekonać podczas naszej rozmowy, jest on człowiekiem o wybitnej, acz dziwnie ukierunkowanej inteligencji i szerokich zainteresowaniach, choć może nieco zbyt ekscentrycznym. To racjonalista o żelaznej logice, dla którego myśl o przestępstwie z powodu chęci zysku, zemsty czy dla jakichkolwiek osobistych korzyści jest tak daleka, jak mgławica Andromedy od Hyde Parku. I to bynajmniej nie z powodu niezłomnej moralności naszego gospodarza, lecz faktu, iż nie uznałby on za stosowne poświęcić ani chwili czasu rzeczy tak przyziemnej, jak planowanie zbrodni. Myślę więc, że słowo "zbrodnia" przyjdzie nam zarezerwować dla pospolitego rzeźmieszka - w żadnym razie nie przystaje ono do hrabiego de Fineaux. Jego dziełem z pewnością nie mogłoby być nic w rodzaju taniej jatki; już raczej coś tajemniczego, niebywałego, błyskotliwie wykwintnego, czego genialność stawiałaby pod znakiem zapytania samą tego kwalifikację jako czynu przestępczego. Coś, co pozostawałoby w takiej samej relacji do domeny zainteresowań kryminalistyki, jak piękny kwiat róży w stosunku do botaniki, traktującej go li tylko w kategoriach charakterystycznego dla danego gatunku rośliny narządu rozmnażania, złożonego z odpowiedniej ilości słupków i pręcików. Odnoszę nieodparte wrażenie, mój drogi Watsonie, iż sprawa zniknięcia profesora Moore'a, w której hrabia de Fineaux niewątpliwie maczał palce, ma w sobie jakiś element nie pasujący do jakiegokolwiek tradycyjnego schematu. Świadczy o tym cały zespół pozornie niepowiązanych ze sobą faktów, które Ci uprzednio przytoczyłem, w ich liczbie zblaknięcie portretu profesora, dziwne ryby w stawie czy też "cudowne" odnalezienie skrótów pomiędzy dwoma wsiami, o którym nikt wcześniej nie miał pojęcia. Wszystkie te drobne paradoksy tak daleko odbiegają od zdrowego rozsądku, że umysł wzbrania się przed poważnym ich potraktowaniem. Z drugiej strony, nie da się ich zupełnie zignorować jako bezsprzecznie dla sprawy marginalnych. Cały ten przypadek zdaje się przypominać naszą obecną sytuację - malutki z pozoru zagajnik, po którym spacerujemy już tą krętą ścieżką zdecydowanie ponad godzinę, nie mogąc się zeń wydostać. Fakt zdawałoby się niemożliwy, któremu jednocześnie nie da się zaprzeczyć. W jakiś dziwny sposób nie daje mi on spokoju.

- Istotnie, Holmsie, słuchając Twoich wywodów dotyczących hrabiego de Fineaux i zniknięcia profesora Moore'a, zupełnie zapomniałem o osobliwości naszego obecnego położenia. Ta wędrówka przez las trwał już stanowczo zbyt długo! Mnie także udzielił się w jakiś dziwny sposób Twój niepokój. W końcu, nasłuchałem się w tak krótkim czasie tylu wprost niesamowitych rzeczy! Ale z drugiej strony, ścieżka, którą idziemy, kręci się i wije niesamowicie. Nie sądzisz, Holmsie, że po prostu kluczymy w rozmaitych kierunkach albo krążymy w kółko? Nie widzę innego rozsądnego wytłumaczenia. Rzeczywiście, to nieco dziwne i nawet zabawne zablądzić w tak małym zagajniku. Zresztą, zapewne

celowo tak właśnie poprowadzono ścieżkę, aby goście mieli kłopoty ze znalezieniem drogi. Niezbyt to może wyszukany dowcip hrabiego, ale też w naszej sytuacji nie ma nic tajemniczego czy niepokojącego!

- Kiedy już znajdziesz zbyt poste i łatwo nasuwające się rozwiązanie jakiejś zagadki, mój drogi Watsonie, przyjrzyj mu się przez chwilę uważnie i z pewną dozą krytycyzmu, zanim je zaakceptujesz. Zaproponowane przez Ciebie wyjaśnienie ma jeden niewątpliwy plus, usuwa mianowicie niepokój, zdejmując odium tajemniczości i uspokaja, a zatem szybko i doraźnie komfortuje psychicznie. Posiada ono także jeden dość istotny minus - jest mianowicie nieprawdziwe. Już dobrą godzinę temu przeanalizowałem absorbujący nas problem szczegółowo. Twierdzisz, że nasza ścieżka ma przebieg tak kręty i poplątany, iż idąc nią błądzimy ciągle po bardzo małej powierzchni naszego zagajnika. Zwróć jednak uwagę na fakt, iż jak dotychczas nie napotkaliśmy żadnej innej ścieżki przecinającej naszą lub też z nią się łączącej. A tego właśnie należałoby oczekiwać, jeżeli masz słuszność. Nie jest również prawdą, że krążymy w kółko. I wtedy bowiem odcinek ścieżki prowadzący od krawędzi lasu w jego głąb powinien w pewnym miejscu dochodzić do owej zamkniętej pętli. Jestem jednakże pewien, że nic takiego nie napotkaliśmy. Można by oczywiście wyznaczyć ścieżkę w kształcie labiryntu, tak, aby była ona skomplikowaną linią możliwie szczelnie wypełniającą małą powierzchnię zagajnika, nigdzie jednak samej siebie nie przecinającą, coś w rodzaju krzywej Peano. I w tym jednak wypadku linia taka nie mogłaby być zbyt gęsto "upakowana", gdyż wtedy widzielibyśmy inne jej fragmenty przebiegające opodal miejsca, w który teraz się znajdujemy, a także drogi, którą już przebyliśmy. A jeżeli tak, to ścieżka nie może być zbyt długa i po pewnym czasie doszlibyśmy w końcu do krawędzi lasu. Tak się jednak nie stało. Obawiam się zatem Watsonie, iż nasza sytuacja, choć z pozoru niemożliwa, jest faktem. Faktem, który z każdą chwilą upływającego czasu naszej wędrówki staje się coraz trudniejszym do wyjaśnienia.

- Zupełnie nie wiem, co Ci odpowiedzieć, Holmsie. Może to głupie, ale staję się coraz bardziej zaniepokojony. Być może jednak mój niepokój bierze się z faktu, iż z góry przypisaliśmy hrabiemu jakieś demoniczne intencje? A jeżeli jest on po prostu niewinny i nie ma nic wspólnego ze zniknięciem profesora Moore'a? A cała reszta ma jakieś bardzo proste wytłumaczenie, tak że po wyjaśnieniu sprawy będziemy się jeszcze śmiać z naszych obaw?

- Podziwiam, mój drogi Watsonie, Twoją konsekwencję w obronie zdrowego rozsądku, nawet jeżeli koliduje on ze wszystkimi poczynionymi przez nas obserwacjami. Ponownie jednak starasz się widzieć to, co chcesz widzieć, a nie to, co realnie ma miejsce. Obawiam się, niestety, że żelazna konsekwencja aury wypadków otaczającej hrabiego de Fineaux znacznie przewyższa tę Twoją.

- A może to po prostu szaleniec, Holmsie, który z sobie wiadomych powodów zwabia do swojej posiadłości rozmaite, najlepiej szacowne osoby, aby zabawić się ich kosztem? Urządza dla nich specjalne labirynty, jak ten las z ścieżką i ...

- ... I potem osoby te znikają na zawsze? Z myślenia życzeniowego popadłeś w jego przeciwność, czyli tani demonizm. Po pierwsze, ten tak zwany "labirynt" stanowi zagadkę sam w sobie, bez względu na to, czy urządził go hrabia, czy kto inny, jakeśmy to już przed chwilą ustalili. Po drugie, biorąc pod uwagę psychologiczny portret hrabiego, to całkowicie nie w jego stylu urządzać sobie tego rodzaju jarmarczną

zabawę z gości - rzeczy tak przyziemne znajdują się poza kręgiem jego zainteresowań. Otrzeźwiej, mój drogi Watsonie i spróbuj myśleć zachowując zdrowy dystans do otaczającej nas rzeczywistości, choć przyznaję, że sytuacja znacznie odbiega od normy.

- Przepraszam, Holmsie, masz całkowitą rację. Zastanawia mnie jednak kolejny problem. Skoro mianowicie hrabia wyraźnie dał do zrozumienia, iż miał swój udział w zniknięciu profesora, to dziwi mnie jego pewność, że nie poniesie żadnych konsekwencji swego czynu. Rzecz wydaje się tym trudniejsza do wytłumaczenia, że zna on klasę Twojego umysłu, Holmsie, czemu zresztą dał niedwuznacznie wyraz. Wszak przytaczał nawet z pamięci niektóre z najbardziej zawiłych spraw kryminalnych, które rozwiązałeś. W ogóle zaś hrabia zdawał się żywić do Twoich zdolności intelektualnych nieklamany szacunek. Dostrzegłem w nim nawet jakby żal, że los zetknął was jako swego rodzaju przeciwników, walczących przypadkowo w tej właśnie sprawie pod różnymi sztandarami. Biorąc to wszystko pod uwagę, należałoby uznać za niewiarygodne przypuszczenie, że właśnie ta zagadka Ci się oprze, i że hrabia był w stanie w to uwierzyć. A jednak patrzył na nas - na Ciebie - z pewnym odcieniem żalu, jak na równego sobie przeciwnika, który, z takich lub innych względów, niekoniecznie od niego zależnych, musi przegrać.

- Podziwiam głębię Twojej analizy psychologicznej hrabiego, mój drogi Watsonie. Wyraziłeś werbalnie to, co mi tylko mgliście i bezsłownie majaczyło w warstwie pojęć. Tak, hrabia był niewątpliwie pewien naszej porażki. Nie wprawiało go to jednak w pełne zadufania samozadowolenie, wręcz przeciwnie, w pewien rodzaj trudnego do zdefiniowania smutku. Niekoniecznie musiał jednak myśleć, iż nie zdołamy rozwiązać zagadki. Wystarczy, jeżeli uznał, iż nie będziemy mogli poinformować o tym rozwiązaniu świata, wynieść tajemnicy na światło dzienne. Sądzę, iż ten właśnie rodzaj pobłażliwości pomieszanej z melancholią krył się za zachowaniem hrabiego. *Notabene*, wyznaczył on nam spotkanie w ruinach za tym laskiem. Nastawał na wybór tego miejsca, twierdząc, iż tylko tam będzie w stanie naświetlić nam istotne okoliczności towarzyszące zniknięciu profesora Moore'a. Jeżeli odrzucimy, nieprawdopodobną zresztą hipotezę, iż był to po prostu kaprys hrabiego, to czy fakt ten nie wydaje Ci się zastanawiający?

- Chyba zaczynam dostrzegać, do czego zmierzasz Holmsie! Czy sugerujesz, że w ruinach zamku za tym zagajnikiem hrabia zastawił na nas pułapkę? Że nigdy już nie opuścimy jego posiadłości? To się wydaje nieprawdopodobne! Przecież sporo ludzi wie o naszej tu bytności i nasze zniknięcie zaraz postawiłoby hrabiego w roli głównego podejrzanego!

- Zaczynam nabierać coraz większej pewności, mój drogi Watsonie, że nie chodzi tu o ruiny, że pułapkę stanowi sam las, w którym się znajdujemy. Co zaś do naszego zniknięcia, to nie widzę powodu, dla którego hrabia miałby się go bardziej obawiać, niż zniknięcia profesora Moore'a.

- Ależ Holmsie! Czy naprawdę przypuszczasz, że za którymś z tych drzew kryje się banda płatnych zbirów nasadzonych na nas przez hrabiego? Nie mogę w to uwierzyć! Zresztą sam powiedziałeś, iż pospolita, prymitywna zbrodnia zupełnie do niego nie pasuje ...

- I w dalszym ciągu obstaję przy swojej opinii, Watsonie. Obawiam się, że nie do końca dobrze mnie zrozumiałeś. To zresztą głównie moja wina, ponieważ zgodziłem się na użyty przez Ciebie termin

"pułapka", który zupełnie tu nie pasuje. Trudno mi jednakże w tej chwili znaleźć jakieś lepsze słowo. Nie, nie oczekuję bandy zbirów. Zaczynam podejrzewać coś znacznie bardziej wyrafinowanego. Obawiam się, mój drogi Watsonie, że zarówno my, jak i profesor Moore, bardzo nie doceniliśmy hrabiego de Fineaux. Jeżeli moje przypuszczenia potwierdzą się, mamy do czynienia z najbardziej szatańską, a zarazem wytworną i pełną intelektualnej elegancji zbrodnią (używam tego słowa, choć się od niego zdystansowałem, z braku lepszego), jaka kiedykolwiek istniała. Z występkiem nie podlegającym żadnym paragrafom kodeksu karnego, lecz skierowanym przeciwko prawom przyrody, czy wręcz metafizyki. Nie sądzę zresztą, aby hrabiemu przyświecały jakieś demoniczne intencje. Reprezentowany przezeń typ geniuszu nie ogląda się po prostu na nic poza prawdą, która stanowi dla niego cel jedyny. Wszystkie towarzyszące poszukiwaniu prawdy akcydentalne okoliczności, w tym względy etyczne, znajdują się poza kręgiem jego zainteresowań. Wydaje się więc, że zarówno zniknięcie profesora Moore'a, jak i nasza obecna sytuacja wcale nie stanowi celu zamierzonego przez hrabiego, lecz jedynie uboczny skutek jego działań skierowanych zupełnie gdzie indziej.

- Zupełnie nic nie rozumiem z tego, o czym mówisz, Holmsie. Co ma jakakolwiek metafizyka wspólnego z faktem naszej obecności tutaj ?!

- Powoli, mój drogi Watsonie, powoli. Sam raczyłeś zauważyć, iż krążymy po zagajniku, który z zewnątrz wyglądał na bardzo mały, niewyobrażalnie długo, już parę godzin, jak sądzę. Ponieważ poruszamy się z szybkością około półtorej mili na godzinę, powinniśmy dotychczas przejść, dokonując ostrożnego oszacowania, ponad trzy mile. Czy możesz mi wytłumaczyć, jak to jest możliwe w lasku o rozmiarach sto na sto jardów, skoro ścieżka, którą idziemy, nie przecina się ani nie łączy z innymi ścieżkami?

- Istotnie, Holmsie, jest to punkt, do którego doszliśmy jakiś czas temu w naszej rozmowie. Sam nie wiem, co o tym myśleć - wszystko to wygląda ogromnie dziwnie, niesamowicie wręcz. Być może bardzo pomyliliśmy się, na skutek jakiegoś zjawiska optycznego, w ocenie rozmiarów zagajnika, patrząc na niego z zewnątrz A może pamięć nas po prostu zawodzi?

- Sam w to nie wierzysz, Watsonie. Ciągłe próbujesz szukania wyjaśnień nie burzących Twojego obrazu świata, ale takich wyjaśnień nie ma.

- No więc co tu się w takim razie tak naprawdę dzieje?!

- Jak już się zapewne domyśliłeś, mam na ten temat pewną hipotezę, która w międzyczasie, podczas naszej wspólnej wędrówki, wykrystalizowała w moim umyśle. Zanim Ci ją jednak przedstawię, pozwól, że przypomnę, jaki był właściwie powód wizyty profesora Moore'a u hrabiego. Jak wiesz, mój drogi Watsonie, takie idealne obiekty matematyczne, jak linia prosta, trójkąt, liczba czy zakrzywiona przestrzeń nie istnieją w rzeczywistym, otaczającym nas świecie. Twory realne mogą być jedynie ich niedoskonałymi aproksymacjami. Zasadniczo rzecz biorąc, obiekty matematyczne można uznać za wynik wyłowienia pewnych wspólnych cech łączących przedmioty w świecie rzeczywistym, przy jednoczesnym abstrahowaniu od własności akcydentalnych tych przedmiotów. Liczba "dwa" to wspólna cecha dwóch jabłek i dwóch kamieni, przy czym pary te w niczym innym nie są do siebie podobne, natomiast pojęcie

linii prostej (o zerowej grubości) może być wyabstrahowane z takich przedmiotów materialnych, jak kij lub naciągnięta linka (posiadających skończoną grubość). Większość matematyków wierzy, iż obiekty matematyczne nie są li tylko wytworem ludzkiego umysłu poznającego otaczający go świat materialny, ale że istnieją one zupełnie niezależnie, "realnie" w świecie bytów idealnych, platońskich idei. Świat taki, jako nieprzywiedlny do świata rzeczywistego, bytuje w sposób całkowicie autonomiczny w odniesieniu do tego ostatniego, poza przestrzenią i czasem.

Otóż jakieś cztery miesiące temu, na zebraniu Królewskiego Towarzystwa Matematycznego w Londynie, hrabia de Fineaux doniósł, że udało mu się znaleźć połączenie, dokonać przebiccia pomiędzy naszym światem rzeczywistym, materialnym a światem platońskim idealnych bytów matematycznych. Że teraz pomiędzy owymi światami istnieje rodzaj przepukliny, przez którą obiekty z jednego świata mogą przenikać do drugiego. Hrabia twierdził także, iż utrzymywanie stałego kontaktu ze światem bytów idealnych umożliwiło mu wejście w istotę prawdy absolutnej, której jednak w żaden sposób nie da się wyrazić słowami w języku. Właściwie wszyscy obecni potraktowali rewelację hrabiego de Fineaux, który nie jest przecież nawet profesjonalnym uczonym i uchodził zawsze w najlepszym przypadku za rodzaj nieszkodliwego dziwaka, za oczywistą bzdurę. Profesor Moore nie ograniczył się jednak, tak jak reszta zebranych, do pobłażliwego milczenia - w swoim zacietrzewieniu naukowca - empirysty, który nawet w matematyce widział jedynie poskładane w rozmaite kombinacje kawałki rzeczywistego świata, a takie pojęcia matematyczne jak nieskończoność czy bezwymiarowy punkt uważał za nie posiadające żadnego niesprzecznego sensu twory ludzkiego umysłu, uznał za stosowne zdemaskować hrabiego (choć dla wszystkich było to oczywiste) jako niedowarzonego szarlatana, którego obecność nie licuje z powagą szacownego zgromadzenia. Hrabia de Fineaux, nie zrażony tymi, jakkolwiek w sposób dżentelmeński wyrażonymi inwektywami, zachował zimny spokój. Najwidoczniej oczekiwał takiej właśnie reakcji zebranych. Zapytał profesora z lekkim odcieniem dystygowanej ironii, czy jego znany wszystkim empiryzm rzeczywiście jest tak mało wart, że polega jedynie na racjonalnym odrzucaniu wszystkiego, co nie przystaje do utartych schematów myślowych egzystujących w jego głowie, bez żadnej próby weryfikacji. Zaproponował następnie wizytę w swojej posiadłości w celu naocznego sprawdzenia przytoczonych chwilę wcześniej twierdzeń o istnieniu owej "przepukliny". Dotknięty do żywego profesor, jako dżentelmen i człowiek honoru podjął wyzwanie, chociaż ani na jotę nie był skłonny brać słów hrabiego na poważnie. Wkrótce udał się do Francji, do posiadłości hrabiego. Od tej pory słuch o profesorze zaginął. Indagowany przez policję hrabia twierdził konsekwentnie, iż po wizycie w pałacu profesor Moore dobrowolnie oddał się z jego rezydencji, wybierając kierunek i drogę, która mu odpowiadała. Nikt nie był w stanie podważyć prawdziwości słów hrabiego. W tej sytuacji jeden z przyjaciół profesora zwrócił się o pomoc do mnie.

Na tym jednak nie koniec tej dziwnej historii. Jakies dwa tygodnie temu rozmawiałem z emerytowanym profesorem Lacroix. W chwili obecnej ma on prawie osiemdziesiąt lat. Swego czasu współpracował z hrabią de Fineaux, co do którego zdolności intelektualnych - nie wahał się użyć określenia "geniuszu" - wyrażał najwyższy podziw. Odpowiadał jednak wymijająco na pytania o przebieg

współpracy i powody jej porzucenia, dwadzieścia lat temu. Temat ten wydawał się napawać go, co odebrałem jako bardzo znamienne, swego rodzaju nieokreślonym lękiem. Raz tylko opuścił ten krąg milczenia, aby wyrazić swoją opinię, jak doszło do zniknięcia Moore'a. Otóż profesor Lacroix utrzymywał, że zniknięcie profesora Moore'a to swego rodzaju zemsta hrabiego za niedowierzanie profesora i jego kpiny skierowane publicznie pod swoim adresem. Hrabia w ten sposób przekonał swego adwersarza, że jednocześnie wprowadził go do świata platońskich idei, do którego znalazł przejście, a skąd już nie ma powrotu. Tym samym dowiódł swoich racji posługując się ulubioną bronią profesora - empirią. Tyle profesor Lacroix. Wtedy jego rewelacje złożyłem oczywiście na karb demencji starczej. Teraz zaczynam dostrzegać, jak bardzo mogłem się pomylić.

- Ależ Holmesie, nie wierzę własnym uszom! Czy ty rzeczywiście wzięłeś za dobrą monetę wszystkie te bzdury? Przecież świat realny i świat idealny nie mają ze sobą nic wspólnego, są jak całkowicie niekontaktowalne monady. W żaden sposób nie da się zatem ich połączyć, a już na pewno nie jest tego w stanie dokonać człowiek!

- Zapominasz, iż hrabia de Fineaux to nie zwykły sobie człowiek, ale zapewne jeden z największych geniuszów w dziejach ludzkości. Z pewnością nie dokonał on przebiccia do świata platońskich idei przypadkiem, na przykład kopiąc dziurę w ziemi - stanowi to raczej owoc wieloletnich badań i przemyśleń. Obawiam się, mój drogi Watsonie, że o prawdziwości mojej hipotezy świadczy najdobitniej nasza obecna sytuacja. Może być tylko jedno wytłumaczenie: ścieżka, którą podążamy, po prostu w ogóle nie istnieje.

-Ależ, czy to żart, Holmesie? Jak mam rozumieć Twoje słowa? Przecież podążamy nią od dobrych paru godzin! Czyżbyś mniemał, iż podlegamy jakiegoś rodzaju halucynacji lub fatamorganie?

- Może wyraziłem się nie do końca ściśle. Nie, sądzę iż jesteśmy, mówiąc całkowicie literalnie, przy zdrowych zmysłach. Miałem na myśli to, iż nasza ścieżka nie istnieje jako jeden twór, na stałe obecny w tym lasku. Ona wije się tylko kawałek przed nami i kawałek za nami. Znika natomiast zaraz za najbliższy zakrętem, zarówno z przodu, jak i z tyłu nas. Nie znaczy to, że ona znika jedynie dlatego, ponieważ opuszcza nasze pole widzenia. Przypadek taki byłby równoważny z całkowicie subiektywnym, berkeleyowskim *esse est percipi*. Natomiast mi chodzi o to, że ścieżka rzeczywiście przestaje istnieć pewien kawałek przed nami i za nami, a nie dostrzegamy tego właśnie z powodu jej nieustannego zakręcania, co powoduje, iż jej "końce" nikną za drzewami. Uprzedzając Twoje okrzyki niedowierzania, mój drogi Watsonie, taki stan rzeczy uważam za bezpośredni skutek otwarcia przez hrabiego de Fineaux granicy, utworzenia "przepukliny" pomiędzy światami, który to fakt, moim zdaniem, trudno dalej negować. Stanowi on jedynie logiczną konsekwencję świadectwa naszych zmysłów.

- Holmesie, nie mogę się wprost otrząsnąć z tych rewelacji, którymi mnie częstujesz! Obawiam się, że nadal nic nie rozumiem. W jaki sposób tak dziwne, niemożliwe wręcz właściwości naszej ścieżki miałyby być konsekwencją kontaktu świata rzeczywistego ze światem platońskich idei?

- To całkiem proste, jeżeli już dopuścimy możliwość prawdziwości przedstawionej przeze mnie hipotezy. Jak pamiętasz, mój drogi Watsonie, hrabia doniósł na wspomnianym przez mnie wykładzie na

spotkaniu Królewskiego Towarzystwa Matematycznego, że obiekty pochodzące z jednego ze światów mogą przenikać do drugiego z nich i mieszać z jego obiektami. Rzeczy uchodzące za "fizycznie niemożliwe" w rzeczywistym świecie, takie jak będące pierwiastkami liczb ujemnych liczby urojone, spokojnie istnieją sobie w abstrakcyjnym świecie idei platońskich. Jednakże fuzja obu światów mogłaby doprowadzić do tego, że także materialne rzeczy nabrałyby właśnie takich "niemożliwych" cech. To właśnie stało się z naszą ścieżką. Ona istnieje jako zrealizowany w świecie realnym obiekt wykazujący niewątpliwe cechy abstrakcyjnego tworu matematycznego. Jest jakby hybrydą rodem z dwóch światów: rzeczywistego i platońskich idei, skrzyżowaniem materialnego obiektu z pojęciem matematycznym. Na pierwszy rzut oka wygląda na zwykłą ścieżkę, pasemko wydeptanej, nieco piaszczystej gleby wijące się wśród leśnego runa. Jednakże jej lokalność, fakt że istnieje tylko w najbliższym otoczeniu miejsca, w którym się znajdujemy, wyraźnie wskazuje na bliskie pokrewieństwo naszej ścieżki z takimi konstruktami matematycznymi, jak pochodna (różniczka). Jak Ci wiadomo, pojęcie pochodnej, określające właśnie lokalne nachylenie badanej funkcji w jakimś konkretnym punkcie, ma sens tylko w bezpośrednim sąsiedztwie tego punktu. Ścieżka, którą się poruszamy, posiada dobrze określone istnienie także jedynie kawałek przed nami i kawałek za nami. Ona ma "sens" tylko w pobliżu nas. Dalej, zapewne za najbliższym zakrętem w przód i w tył, oba jej końce w "rozpływają się" w lesie. W miarę, jak podążamy naprzód, odcinek ścieżki pozostający z tyłu stopniowo coraz bardziej ulega rozmyciu, natomiast z przodu kolejne fragmenty ścieżki "materializują się" przed nami w przypadkowym kierunku, tak że dalszy przebieg jej "wicia" się decyduje się na bieżąco w sposób najzupełniej losowy. Szybkość "dematerializacji" za nami oraz "materializacji" przed nami jest dokładnie równa prędkości naszego posuwania się, tak że długość "istniejącego" fragmentu ścieżki w obu kierunkach nie zmienia się w czasie. Ciągłe pewien krótki kawałek wije się z przodu i z tyłu nas. Innymi słowy, ścieżka zachowuje się w przybliżeniu jak węgorz, w którego połowie znajdowalibyśmy się my - w pewnym sensie ona "sama" wybiera sobie (i nam) drogę przez las. Węgorz przy tym porusza się w przestrzeni, natomiast ona cały czas "stoi w miejscu", a jedynie tylny jej koniec rozmywa się w lesie, podczas gdy z przodu samoistnie ulegają wykreowaniu coraz to nowe jej fragmenty. Rozumiesz teraz, dlaczego nasza ścieżka, pomimo ciągłego skręcania to w prawo, to w lewo na małym obszarze, nigdy nie przecina samej siebie? Po prostu te jej odcinki, które pokonaliśmy ledwie kilka minut temu, już nie istnieją, a te do których za chwilę dojdziemy, nie istnieją jeszcze. Czyż można sobie wyobrazić lepszy przykład fuzji obu światów? Zaiste, mimo pewnych niedogodności naszego obecnego położenia, muszę przyznać, iż staliśmy się świadkami największego osiągnięcia filozofii eksperymentalnej w dziejach ludzkości. Żywię jednak uzasadnione obawy, iż nazwany sukces wykaże jedynie daremność takiej filozofii. Więcej, jej całkowitą destrukcyjność w sensie zarówno przenośnym, jak i dosłownym. W ostatniej instancji, ofiarą tej destrukcji stanie się być może cały otaczający nas jeszcze, rzeczywisty świat.

- Jestem, Holmsie, całkowicie oszołomiony tym, co mówisz. Ścieżka jako różniczka - to rzeczywiście całkowicie wykracza poza wszelkie moje utarte schematy myślowe. No dobrze, ale skoro przyjmujemy nawet, że masz rację, to jakie płyną stąd wnioski dla naszej obecnej sytuacji? Co mamy

zrobić, aby w końcu wydostać się z tego lasu? Nie możemy przecież po nim krążyć do końca życia! Wiesz, co ... skoro to wszystko ma już być rzeczywiście do końca zwariowane, to może udałoby się w jakiś sposób scałkować naszą ścieżkę? Całkowanie to przecież operacja przeciwna do różniczkowania, a więc po wyciągnięciu całki z pochodnej powinniśmy otrzymać pierwotną linię, czyli normalną, zachowującą się w zgodzie ze zdrowym rozsądkiem, rzeczywistą ścieżką!

- Zaiste, zadziwiasz mnie, mój drogi Watsonie. Nigdy nie podejrzewałbym u Ciebie podobnej śmiałości w formułowaniu tak daleko idących idei. Jak widać, pomimo początkowych oporów, bardzo szybko zdażyłeś zadomowić w tym nowym, całkowicie fantastycznym świecie. Z teoretycznego punktu widzenia Twój pomysł wydaje się wyśmienity. Obawiam się jednakże, iż moglibyśmy napotkać na pewne kłopoty z jego praktycznym urzeczywistnieniem. Jak sobie właściwie wyobrażasz przeprowadzenie takiego całkowania? Nie zamierzasz chyba użyć do tego celu łopaty, której *notabene* nie posiadamy, aby usypać ścieżkę w wybranym kierunku? Obawiam się, iż nie jest to narzędzie będące w powszechnym użyciu wśród matematyków. A więc może chcesz przeprowadzić całkowanie jedynie w swoim umyśle, przy pomocy, powiedzmy, liczydła? To jednakże niewiele by dało, albowiem wcale nie posiadamy w głowach platońskich idei, a jedynie odległe i rozmyte rojenia o nich. Musisz pamiętać, że otworzenie przepukliny do świata abstrakcyjnych tworów matematycznych zajęło hrabiemu de Fineaux całe życie badań i poszukiwań, trudno więc oczekiwać, aby jej zamknięcie miało być dziecinną fraszką. Nie zapominaj także, iż przed nami do tego świata dostał się profesor Moore, który, mimo iż jest genialnym przecież matematykiem, także nie potrafił znaleźć zeń wyjścia. Wszystko to sugeruje, iż nie byłoby łatwo zmusić naszą ścieżkę do opuszczenia lasu.

- Wiesz co, Holmsie, przyszła mi do głowy pewna nowa myśl. Właściwie przecież nie musimy trzymać się ścieżki. Moglibyśmy ją porzucić i spróbować iść na przełaj. Zapewne w ten sposób uda nam się wyjść z tego zagajnika!

- Twoja propozycja, mój zacny Watsonie, świadczy jedynie o tym, iż nie do końca zrozumiałeś istotę naszego położenia. Żywię dogłębne przekonanie, że opuszczenie lasu może być już dla nas, z takich lub innych powodów, niemożliwe. Nie, nie ze względu na jakieś mury czy zasieki. Oczekuję po prostu, że próbując iść na przełaj, napotkalibyśmy nowy chwyt matematyczny, niweczący, tak dotąd uniwersalną i oczywistą, logikę naszego świata. Na przykład, nasz zagajnik może nie posiadać już żadnych granic, które musielibyśmy przekroczyć, aby z niego wyjść. Wystarczy, aby jego powierzchnia stała się zamkniętą, dodatnio zakrzywioną płaszczyzną, tak jak powierzchnia kuli lub. Jak Ci wiadomo, powierzchnia taka, chociaż sama jest skończona (do jej pomalowania wystarczy skończona ilość farby), to można po niej błędzić w nieskończoność, właśnie jak po powierzchni naszej planety. Wyruszywszy z jednego punktu, podążając cały czas przed siebie, dochodzi się do tego samego punktu, tyle, że z przeciwnej strony. Jeszcze lepsza byłaby powierzchnia torusa, coś na kształt dętki, która powstaje w wyniku sklejenia przeciwstawnych boków prostokąta. Istnieje zresztą bez liku innych matematycznych abstrakcji, które przyłożone do otaczającej nas rzeczywistości, uniemożliwiłyby opuszczenie zagajnika

czy nawet odnalezienie jego granic. To, która z nich została zastosowana w naszej konkretnej sytuacji, stanowi całkowicie drugorzędny problem.

Istotne jest, że hybryda świata materialnego i idealnego stała się faktem. Co więcej, to właśnie świat platońskich idei wtargnął do naszej materialnej rzeczywistości. Były matematyczne mieszają się z bytami fizycznymi, przy czym udział tych pierwszych w tak powstałym kolażu systematycznie wzrasta kosztem zmniejszania się udziału drugich.

- Ale jak do tego mogło dojść, Holmsie?

- Przebicie połączenia pomiędzy tymi dwoma światami nie mogło pozostać bez konsekwencji. Ich byty zaczęły się ze sobą mieszać i któreś z nich musiały przeważyć. Jeżeliby połączyć w jedno świat światła i świat cieni, to jak myślisz, jaki świat otrzymamy w rezultacie, Watsonie?

- Zapewne świat szarości, Holmsie, pół-swiatła, pół-ciemności, jednakowoż...

- Mylisz się, Watsonie. Gdy usuniesz czarną kurtynę pomiędzy jednym pomieszczeniem jasno oświetlonym i drugim skrytym w mroku, to w rezultacie oba pomieszczenia staną się jasne - światło może rozjaśnić mrok, ale mrok nie jest w stanie "zaciemnić" światła. W tym sensie jasność i ciemność nie są symetryczne.

- I ty myślisz że ...

- Tak, Watsonie. Myślę, że przejście pomiędzy światami rzeczywiście zostało otworzone, oraz że wieczny i absolutny świat idei zaczął przeważać nad niedoskonałym i efemerycznym światem rzeczywistym. Czego prawdopodobnie nawet sam hrabia de Fineaux nie był w stanie przewidzieć. W rezultacie wszyscy, nie tylko my i profesor Moore, ale także hrabia i cała reszta ludzi, znaleźliśmy się po stronie przegranych. Być może hrabia już to zrozumiał podczas naszej z nim rozmowy - dostrzeżoną przez nas melancholię i politowanie kierował zapewne właśnie przede wszystkim pod swoim własnym adresem. To samo dotyczy świadomości kłęski - odnosiła się ona w równej mierze do nas, co do niego samego.

- I Ty przypuszczasz, że nie tylko ten zagajnik, ale cały nasz świat ulegnie w końcu ... ?

- Nie wiem, mój drogi Watsonie. Ale pewne symptomy już były - portret profesora Moore'a, kwiaty na klombie w posiadłości hrabiego, geometryczne zmiany w topografii terenu Ten lasek to tylko kolejny w serii podobnych przypadków. Podejrzewam, niestety, że ekspansja idealnych bytów matematycznych może wkrótce ogarnąć znacznie większe obszary, a w końcu i cały świat. Co się wtedy stanie z nami i z resztą ludzi - trudno mi doprawdy powiedzieć. Przyjdzie nam zapewne żyć w idealnej sferze platońskich idei, nieustannie bytować w obliczu absolutu.

- To jakieś straszne, Holmsie Ale przecież życie, rozum, ludzie, ich nadzieje, namiętności, ich ułomne i tymczasowe prawdy istnieć mogą tylko w świecie rzeczywistym! Co by się z tym wszystkim stało w świecie prawdy absolutnej? To, co mówisz, jest zupełnie nieprawdopodobne!

- To tylko logiczne, Watsonie. Kiedy wyeliminujesz już wszystko, co jest całkowicie niemożliwe, reszta, choćby wydawała się najbardziej nieprawdopodobna, staje się faktem. Zresztą to, czego dokonał hrabia de Fineaux, nie jest zapewne aż tak bardzo nie z tej ziemi, jak nam się to pierwotnie wydawało. W

pewnym sensie, hrabia odkrył po prostu matematyczną teorię wszystkiego. Jest rzeczą wręcz banalną, że całkowite zrozumienie świata, *ergo* sprowadzenie go *explicite* do zespołu matematycznych pojęć i formułek, obdziera ten świat z jakichkolwiek aspektów humanistycznych. W miejsce codziennej ludzkiej rzeczywistości, przepełnionej babim latem nieuprawnionych, ale będących wszystkim, co mamy - sensów, pojawia się obca, bezduszna machina. Świat może być piękny jedynie jako wynik naszej ułudy - obiektywnie pozostaje on pusty i beznamiętny, jak doskonała figura matematyczna, koło.

- I czy naprawdę nic już nie da się zrobić? Jakoś nie mogę uwierzyć, że Ty, który rozwiązałeś tyle spraw kryminalnych, nie poradzisz sobie z obecną sytuacją!

- Twoja wiara we mnie, mój drogi Watsonie, jest zaiste wzruszająca. Jednakże możliwość odwrócenia biegu wypadków nie zależy tylko od moich chęci i umiejętności, lecz jest także pochodną faktycznego stanu rzeczy. Zasadniczą kwestią pozostaje bowiem, czy zatrzymanie inwazji idei platońskich w świat realny jest w ogóle możliwe. Myślę oczywiście intensywnie o tym, jak tego dokonać. Zachodzi tu jednakże swoisty wyścig z czasem i obawiam się, że jak na razie wyścig ten przegrywamy.

* * *

- Nie sądzisz, Holmsie, że coś się zmieniło w naszym otoczeniu? Rzeczywistość wygląda trochę tak, jakby na nią patrzeć przez grubą szybę. Zapadła jakaś taka głucha cisza. W tym bezruchu drzewa wydają się martwe i odległe. Brzmi to może dziwnie, ale jednego jestem pewien - że nie spadnie deszcz.

- Nie tylko otoczenie ulega zmianie, mój drogi Watsonie. My także się zmieniamy. Świat platońskich idei jest równie obcy obiektom materialnym, co naszym umysłom. Cóż bowiem wspólnego z matematycznymi abstrakcjami mają uliczne latarnie odbijające się w wilgotnym bruku o głuchym przedświcie? Podążając tą ścieżką, oddalamy się od nich coraz dalej. To znaczy - od naszych umysłów. Latarnie jako zbiorowiska atomów być może pozostaną.

* * *

- Dziwnie się czuję, Holmsie, tak jakbym nigdy nie miał żadnej przyszłości, ani przeszłości, jakby nigdy nigdzie mnie nie było poza chwilą obecną, tu i teraz. Więcej, jakby poza tym światem, tym miejscem gdzie jesteśmy, nigdy i nigdzie nic innego nie było. I jakby nic też nie miało nastąpić. Początkowo myśl ta jeszcze mnie zatrwożyła, ale teraz, wiesz co ... teraz wszystko to wydaje mi się jakieś obojętne. Powiedziałbym, że jestem senny, ale nie bardzo pamiętam, na czym polega sen. Właściwie to przecież wszystko jedno, czy oczy ma się zamknięte, czy otwarte... .

- Taak, mój drogi Watsonie. Osiągnęliśmy marzenie całych pokoleń filozofów, mistyków, alchemików, artystów, a także zwykłych śmiertelników. Czeka nas jeszcze bardzo długa droga, ale niewiele będziemy mieli sobie do powiedzenia.

* * *

Dalej szli już w milczeniu, a przed nimi i za nimi wiła się ścieżka.

W trakcie ich wędrówki las coraz to bardziej i bardziej blaknął, stopniowo tracąc kolory rozmaitych odcieni barwy srebrzystozielonej, szmaragdowej i złotej, aż w końcu uzyskał efemeryczny ton delikatnej szarości. To liście stawały się przezroczystymi tafelkami o ledwie zarysowanych konturach, a ich kształt coraz bardziej zmierzał do kształtu równoramiennych trójkątów. Nie zauważyli tego, ponieważ myśli ich także zaczęły przybierać idealne formy figur geometrycznych.

Znikały powoli wszelkie, chybotliwie majaczące, niedoskonałe cienie ze ścian jaskini, oświetlanej teraz coraz wyraźniej zimnym, nieskończenie wiecznym blaskiem Absolutu.